Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 49.** **Leszno,** *dnia* 6. *Czerwca* 1840.



X. *Mateusz Kozłowski.*

Słów kilka po zgonie ś. p. X. M. Kozłowskiego, S. T. D. uniwersytetu Jagielońskiego professora, skreślonych.

Zgasnąć musiał ten kaganiec jasny, piękny, który nam tak długo świecił.
Birkowski, na pogrzebie Skargi.

Kilka dopiero ubiegło miesięcy, bo w końcu zeszłego roku, jak zgasła pochodnia, która dość długo w Kościele Jezusa Chrystusa świeciła. Cnoty i zasługi, są wprawdzie same przez się szacowne i nie potrzebują pochwał ludzkich, i nie w téj téż myśli słów kilka postanowiliśmy powiedzieć o mężu, znanym zaszczytnie: powszechny szacunek, jaki pozyskał, najdokładniéj poświadcza o zasługach, za które go nabył. — X. Kozłowski, S. T. D., exprowincyał zakonu kaznodziejów, były uniwersytetu krakowskiego professor, Jan Chrzciciel na świecie, w zakonie Mateusz, z rodziców obywateli, urodził się w starożytnym Krakowie 1759 roku. Początki nauk pobierał w szkołach miejskich, gdzie także uczył się retoryki. W czternastym swego życia, a 1772 roku, policzony do zgromadzenia XX. Dominikanów krakowskich. Tu po ukończonéj próbie, prawami Kościoła przepisanéj, wykonał zakonne śluby 3go dnia Września 1775 r. Młodzieniec w pierwszéj życia swojego wiośnie, Bogu na służbę poświęcony, jak owi wielcy Święci, Arcybiskup Antonin, Tomasz z Akwinu, anielski doktor, i inni, uniknął zarazy i zepsucia świata: wniósł do zakonu niewinność, która się nawet na starcu siedmdziesiątletnim malowała; a obok niéj rozwinął talenta: okazał przykładem, jak zwodnicze tych mniemanie, jak szkodliwe dla Kościoła i Religii, którzy młodzieży dwudziesto-kilkoletniéj dopiero, gdy ich duszę, a może i ciało, wiatr owionął przewrotności i skażenia, w stan duchowny wstępować, dopuszczają lub radzą, pomimo przeciwnego im zdania Najświętszego Ducha, jakie czytamy w księgach boskich: „Dobrze jest mężowi, gdy nosi jarzmo od młodości swojéj.“ (1) Daléj w naukach filozoficznych i teologicznych, młody Mateusz korzystnie postępując, ściągał na siebie uwagę przełożonych i professorów zgromadzenia; a odbywszy wszystkie examina, tak w domu podług przepisów nakazane, jako téż i zwykłe przed dyecezalną zwierzchnością, na godność kapłańską, po ukończeniu lat 23, wyniesiony został. Wnet jako celujący i znakomitemi wzbogacony wiadomościami, po złożonym examinie, ogłoszony studentem formalnym, którzy, podług konstytucyi zakonu, trzechletnią pracą szkolną zwykli uspo-

(1) Treny r. 3. w. 27.

sabiać się na przyszłych professorów. Jakoż z wyboru przełożonych zgromadzenia, posłany w roku 1783 do Rzymu, głównego klasztoru XX. Dominikanów co do nauk, gdzie pobyt posełanych zapewnił fundusz sławnego Bzowskiego. Tam wyższem ukształceniem się zajęty, uważany był za ozdobę zakonu i kraju, na jakiéj nigdy niezbywało Polsce, uczył się oprócz duchownych nauk, języków greckiego, hebrajskiego, włoskiego; niepoślednio i francuzki posiadał. Uważając znamienite jego zdolności, Generał zakonu Dominikanów, Baltazar de Quinones, postanowił zatrzymać go w Rzymie, i naukową katedrę polecić. Gotów był X. Mateusz Kozłowski, jako syn posłuszeństwa, przyjąć na siebie tak pracowitą i zasługę rokującą posadę, atoli Generał postrzegłszy w młodym i wybornym nowoogłoszonym professorze, wielką do ojczyzny tęschnotę; niemniéj słabość zdrowia, z przyczyny zmiany klimatu rodzinnego, powrócić do ojczyzny pozwolił. Smutek w Rzymianach, z przybliżającego się odjazdu X. Mateusza Kozłowskiego, również przychylność i przywiązanie, jakie nabył u znamienitych mężów, jako też przełożonych zgromadzenia; poświadczały, że był godnym piastować znakomite zawody i urzędy, pod okiem apostolskiéj stolicy. Nareszcie wróciwszy do ojczyzny, i właściwego klasztoru, który w osobie jego zdawał się wskrzeszać sławnych Bzowskich i innych, powitany z uprzejmością, rozpoczął zawód nauczycielski. Professorem trzechletnim filozofii w zgromadzeniu ustanowiony, bogacił poruczoną sobie młodzież zakonną obfitemi plony, które na polu nauk pracowicie w kraju, i po za jego obrębem nazbierał. Ledwie ubiegł trzechletni kurs filozoficznych jego wykładań i prac kaznodziejskich w kolegiacie wszystkich ŚŚ., ażci powołany do Lublina na teologii professora; tam uzupełniony pięcioletni okres na pomienionéj katedrze przepędzając, pozyskał szacunek, i wysokie z talentów i cnót poważanie od współzakonników, prałatów, wszelkiego duchowieństwa, nawet urzędników i obywateli. Następnie zwierzchność zakonna wezwała go na katedrę professora teologii w Krakowie, gdzie w ciągłą i mozolną pracę sześcioletnią wzwyczajony, przez publiczne ówczesne dysputy, z wielkich talentów odgłosem powszechnym uczczony, przyjaźnią i uwielbieniem samychże akademików krakowskich ozdobiony, odznaczał się wpośród wielu uczonych, jak gwiazda blaskiem znamienita. Przechodząc zaszczytnie wszystkie stopnie, jakie zakon dla mężów oddających się nauce zakreślił, w celu nabywania i udzielania umiejętności duchownych; piastując utrudzające urzędy, Bakalarza, Magistra *studentium, Praesentata,* nareszcie laurem doktorskim, za przychyleniem się Generała zakonu, Józefa Gaddy, uwieńczony został. Lecz nie tylko zakon sam oceniał księdza Mateusza Kozłowskiego cnoty i zdolności, nie tylko sam ozdobił biretem, nie tylko sam otwierał mu pole zasługi: w Lublinie jeszcze, examinatorem synodalnym i cenzorem ksiąg ogłoszony został, w nagrodę obszernych nauk, cnót i wiadomości. Po ukończeniu szkolnych swych zawodów, przy powszechnym szacunku, jaki mu się słusznie należał; klasztor krakowski, wybrał księdza Mateusza Kozłowskiego swoim Zwierzchnikiem i Przeorem w roku 1805. Tu dopiero postawiony na świeczniku tego zakątka, który kościołowi polskiemu, tyle wypielęgnował znakomitych mężów, gorliwych Biskupów, głośnych i królewskich kaznodziei, doradców i spowiedników panujących książąt; tu, mówię, w całym blasku cnót i nauk okazał się X. Mateusz Kozłowski. Miłość braci i poważanie winne jego zasługom, wyniosły go na ster zarządu, czyli prowincyała obojéj na ów czas Galicyi, i po zaszłych odmianach politycznych, Prowincyała Polski. Wizyta kanoniczna, jaką z pierwszych obowiązków naczelnictwa, po klasztorach sobie podwładnych przedsięwziął, dała go poznać mężem, ze wszech miar godnym, i odpowiadającym tak wysokiemu powołaniu. Zaszczycony zaufaniem Arcypasterzy gnieźnińskiego, ś. p. księcia Ignacego Raczyńskiego i lwowskiego Kickiego, nie mniéj wielbiony od Biskupa lubelskiego, podówczas Skarszewskiego, jako też od wielu innych prałatów, jacy w różnych interesach kościoła i dyecezyi, rady, zdania i roztropności jego zasięgali; stawiały go obok znanych uczonemu światu, Bzowskiego, Mościckiego, Grodzieckiego, Birkowskiego. Umiał podwładne sobie klasztory, przykładem, nauką, zaufaniem, ojcowskiemi przymioty, do karbów porządku należnego, który natedy czas i okoliczności, częstokroć smutne, nieco rozprzęgły, przywodzić. Arcybiskup Kicki, usiłował wszelkiemi zabiegi zatrzymać go we Lwowie przy boku swoim, już po odgraniczeniu Galicyi, i pięknymi widoki do swoich żądań zniewolić; znał bowiem czym był X. Mateusz Kozłowski, co dla siebie i dla swojéj archidyecezyi, mógł sobie po nim obiecywać. Atoli wdzięczny rodzinnemu klasztorowi, za wykształcenie, jak sam mówił; chciał mu z całego siebie, i wszystkich wywiązać się talentów. Złożywszy prowincyała godność, do Krakowa wrócił, i dowiódł, że się nigdy widokom światowym uwieść niedozwolił, a zakątek i osobność, do jakiéj nawykł, nad wszystko przełożył.

Tu nowa znowu dla X. Kozłowskiego otwiera się pracy i zasługi epoka. Wakująca katedra w uniwersytecie Jagiellońskim historyi kościelnéj, otworzyła dlań pole uczonemi prelekcyami zaszczycać tę starożytną szkołę. Wprowadzony do niéj z szczególną uprzejmością, do ostatniéj reorganizacyi akademicznéj, która go emerytem ogłosiła, w licznych naukowych posiedzeniach, w urzędzie trzykrotnym dziekana fakultetu, w zastępstwie rektora akademii, professora extraordynaryjnego teologii moralnéj,

w senacie akademickim, pokazał się być jednym z tych uczonych i sławnych professorów, jakimi poszczyca się Jagielloński zakład, i jacy nie mało dodają mu świetności. Biskup Woronicz, sam uczony, i miłośnik uczonych, zwykł był mawiać, iż nie X. Mateusz Kozłowski starać się o nauczycielstwo w Akademii, ale raczéj Akademia wezwać go była powinna. Jakoż ten sławny polski mówca niepoślednio poważał czcigodnego professora X. Mateusza Kozłowskiego. Lubił z nim rozmawiać o naukach, rady jego zasięgał, poufałym przyjacielem uczynił, odwiedzać zapraszał, i sam wzajemnie odwiedzał. A nawet na prymasostwo polskie posunięty, zachęcał, aby się X. Mateusz Kozłowski do grona professorów akademii warszawskiéj wcielił. Rad go kążącego słuchiwał, godnością examinatora synodalnego, i cenzora ksiąg, czém dawno był ozdobiony, zaszczycił, i czule, przed odjazdem swoim, z uczonym księdzem Mateuszem Kozłowskim się pożegnał. Uwolniony nakoniec uchwałą senatu, ze smutkiem wielu, od katedry, na któréj kilkunastoletnie położył zasługi, przecież nie odpoczął. Zgromadzenie krakowskie wyniosło go na godność swojego przeora; dziwiło to nie mało wszystkich, że starzec zstyrany w szkole, na ambonie, w prowincyalskim urzędzie, trudnego zawodu, w tych zwłaszcza okolicznościach krytycznych dla duchownego stanu, przyjąć się niewachał: uczyniła to, powiadał, prośba i zaufanie moich braci: jakoż przewoduiczył wzorem, pobożnością, radą, troskliwością, słowem, wszelkiemi cnotami. Całą akademicką pensyą, od wstępu na katedrę historyi, na potrzeby klasztoru poświęcał i widać było, że przebijała się na twarzy jego pociecha i ukontentowanie, kiedy tą szczupłą pensyą, mógł się przysłużyć, zakonowi i braciom. Nic sobie nieprzywłaszczał, wszystko własnością klasztoru być mienił. Był to widok, zbyt rzadki w tych czasach fenomen, który się nie tak prędko pojawi. Długo przechowała się chlubna pamięć o X. Mateuszu Kozłowskim, nawet w Rzymie; długi przeciąg ubiegł czasu, a niezapomniano o talentach jego, w chrześciańskiego świata stolicy. Generał zakonu kaznodziejów, Welzi, który kardynalską zaszczycony został godnością, wzywał listownie księdza Mateusza Kozłowskiego do Rzymu, w myśli powierzenia mu wysokich zakonu urzędów; odgłos nauki i cnót jego, obił się o starożytne mury Rzymu: gotów był jako uległy zwierzchności zawsze Mateusz, rodzinną ziemię opuścić; atoli wycieńczone pracami naukowemi siły, odległość zbytnia od tego punktu, do którego chęcią i posłuszeństwem chciał był zabiegnąć, były dostateczne do uwolnienia go od żądań naczelnika zakonu.

Ale cóż to jest wszystko, co o tym czcigodnym namieniłem mężu? Kogóż wyszukać, aby go żałobną i słusznie pochwalną uczcił mową? Oto, jak mówiono, po zgonie Birkowskiego, że potrzeba, aby na jego pogrzebie wzajemnie Skarga odpowiedział; tak zaiste, podług mnie, należałoby przywołać drugiego Kozłowskiego, aby księdzu Mateuszowi godną jego cnót wyrzekł mowę. Bo czyż niezadziwiał X. Mateusz Kozłowski uczonych i światłych mężów? głęboki teolog, biegły historyk, posiadacz języków, włoskiego, francuzkiego, a łacińskim, jak ów stary Cycero, chrześciański Laktancyusz, mówił. Wielki kanonista, badacz starożytności, miłośnik dzieł śś. Ojców, a szczególniéj Augustyna i Tomasza. Niepośledni filozof i prawdziwie katolicki. Hermeneutyk znakomity, cały zanurzony w tłómaczach Pisma Ś. Doskonały kaznodzieja, obok obowiązków professora zgromadzenia swoiego, był przez lat sześć katedralnym krakowskim mówcą, na jakich, od czasu pierwiastkowego Dominikanów do Krakowa wstępu, Ś. Jacka, i jego następców, nieprzerwanym łańcuchem, kapituła zapraszać była zwykła. — Owcześni prałaci, Sufragan Olechowski, Dziekan Sołtyk, światły rektor uniwersytetu Szabel, uczony Wacław Sierakowski, cnotliwy Lipiński, akademik X. Markiewicz, podziwiali jego wysokie zasługi i talenta: tegoczesny czcigodny Biskup, Sufragan, administrator dyecezyi krakowskiéj, uczony mąż, oświadczał dlań przychylność i uwielbienie; a o zgonie jego zasłyszawszy, niemało był dotknięty znakomitego męża stratą. Albowiem niepośledni to był klejnot, a znakomita perła Kościoła polskiego i zakonu; blask jego cnót i nauk, rozwidniał obok siebie wielu, i zaszczytną o obojgu duchowieństwie krajowém, ustalał u obcych opinią. Był to mąż nieporównanéj pamięci, wiersze z klasycznych autorów, w pierwiastkach swoiéj edukacyi, w pamięci utkwione, jak gdyby dziś odczytane, powtarzał. Dzieła historyczne, epoki i lata, jakie niemało w tym względzie utrudzają, miejscową pamięcią ogarniał. Daleki od tego wszystkiego, za czém inni zapamiętale się ubiegają, całą usilnością szukają; zakonną suknię i ustroń, nad wszystko przenosił, i nie raz powiadał, że wielu stara się o to, od czegoby uciekać, przykładem Świętych, powinni. Czciciel uczonych i kochających nauki, umiał ich oceniać, zagrzewać i z uniesieniem o nich mówić. W każdéj gałęzi nauk, można było z nim śmiele rozprawiać, i nie małe w potrzebie korzyści odnosić. Miłośnik zgromadzenia, i od wszystkich wzajem kochany; wysłużył słodką o sobie pamięć, która przejdzie do następców nawet. Przewodnik gruntownéj pobożności, zbiór cnót zakonnych; usiłował popierać tę prawdę, że słowa poruszają, ale pociągają przykłady. Staranna troskliwość życia, gdyby była w nim znalazła miejsce, mogłaby jego doczesny przeciągnąć pobyt; atoli chrześciańskie pragnienie wieczności szczęśliwéj, i połączenie śpieszne duszy z Jezusem Chrystusem, to było jego pra-

gnieniem i celem: krótka słabość sił żywotnych, dziedzictwo potomków Adama, skutek lat 80 i pół upłynionych dla chwały Stwórcy i pożytku Kościoła, poprzedziła zgon jego chrześciański, który dzień 5. Grudnia 1839 r. wszystkim oznajmił, a wielu zasmucił. Szanowne duchowieństwo świeckie i zakonne, z prześwietną Akademią krakowską, przytomne było obrzędowi pogrzebowemu. Jaśnie wielmożny X. Lechert, Oficyał dyecezyi kaliskiéj, jako były uczeń, oznajmił zgromadzeniu, iż podziela jego smutek, z utraty zasłużonego męża w hierarchii Kościoła, oraz oświadczył, iż Kapituła kaliska uchwaliła za duszę jego nabożeństwo żałobne w dowód winnego szacunku. Oby Pan nieba wskrzeszał, w tych smutnych dla Kościoła czasach, obficiéj podobnych mężów! Oby Dawca wszystkiego udzielał w winnicy swojéj, naśladujących jego cnoty pracowników! Oby bogatym wieńcem nagrody wiecznéj, do pokrótce odcienionych prac i zawodów pociągnął! Niech się stanie, niech się stanie! (1)

Pisano w klasztorze XX. Dominikanów krakowskich 1840 r.

X. W. P.

Łowiec.

Gawęda z XVI. wieku.

(Ciąg dalszy.)

„Tak, tak, miły panie Dymitrze,“ przemówił Struś,“ w około tu była puszcza i nie lada: po tysiącu brano ztąd modrzewiów na maszty okrętowe, a kto z łowców wybrał się na źwierza, inaczéj nie, jeno na tydzień cały do puszczy téj szedł. A wówczas trzeba mieć półtora funta prochu, półtory kopy kul, knot, zapas hupki w łożu, krzesiwo, toporek, nóż i rzemień; więc biesiagi, w których chléb wędzonka — a wodę pić. A to, aby gdzie jedno pod knieję dobrą zwierzęcą przyjdzie, tam sobie uczynić nocleg, gdyż strzelec, nie jako myśliwiec, jeżdżeniem, ale jako szpieg nastawaniem, a czasem na miejscu strzeżeniem, do paszy zwierzowi sposobnych, przed wieczorem na trzy godziny do zmierzchnienia, i nad świtaniem drugie trzy na dzień pilnować ma, bo źwierz na te czasy z gęstew na ulaski trawą przyodziane najczęściéj wychodzi, rad zwłaszcza na dniu wielkim. Jeśliby chodząc po puszczy upatrować chciał, tedy na to najlepiéj w największy wiatr, aby zwierz dla szumu wielkiego, łamania gałązek pod nogami strzelcowemi nie słyszał. Bo wierz mi Wasze, po wiatru do źwierza, a pod słońce do ptaka na drzewie, niechaj nikt nie dybie, bo zwierz pod wiatr nozdrzą, a ptak po słońcu okiem prędko postrzegą strzelca. (1) Abyś w takiéj puszczy nie zbłądził, we dnie po słonku okiem, a w nocy tedy pomacać drzewa, na którém od północy, gdzie nie chodzi słońce, zarasta mech, i z północy kosmate, a z południa gołe drzewo muśi być zawżdy. A kto może, niech ma i kompas przy sobie, aby się jedno zkądkolwiek poznał bieg słoneczny. Bo trzeba wiedzieć Waszeci, że nie jednę noc przespało się w puszczy z daleka od ludzi, kędy nie zasłyszałeś głosu człowieczego, jeno wycie wilków, mruk niedźwiedzi, i chrząkanie odyńców. Nieraz strach zajrzał w oczy, aleć w Bogu nadzieja, a w torbie chléb. Miałem téż rusznicę nie lada, rura na półpięty piędzi. Kulę do niéj w cienki oszywałem płatek, potém ostrzygniona, więc w wosk gorąco rozpuszczony wrzucona, w którym gdy obewra, tedy potém ostudzona, w rusznicę nabita by najdłużéj leżała, nie ordzewieje, zaczém nie targnie. A do niéj brałem prochu co trzecia część kule zaważy. Bo trzeba wiedzieć Waszeci, że inaczéj się nabija do tarczy, abo na nieprzyjaciela, by mu zbroję przebić, wtedy prochu trzeba, co pół kuli zaważy.“

Tu odetchnął po długiéj mowie Struś, i sparł głowę na poduszce. Podstoli na oknie ujrzawszy rękopism, sięgnął ręką, co Struś ujrzawszy, rzekł do Dymitra: „Wasze młode pierśi macie, przeczytajcie, com dla pamięci zapisał ku przestrodze drugich; jestto szczera i wierna prawda z doświadczenia.“

Dymitr wziął dyaryusz do ręki i począł czytać:

Przysłowia myśliwcze z doświadczenia szlachcica polskiego.

A. D. 1590.

Kto idzie na niedźwiedzia, gotuj łóżko; kto na dzika, mary.

Do źwierza po wiatru, do ptaka pod słońce, jako do konia w omacui, nie trafny chód.

Ptaki drobne kulą strzelać, zające na śniegu bez rarogów (2) szczwać, ryby w rzece kłonią łapać, to z tych łowów jedno dziesięcinę wytknąć przyjdzie!

Na zająca z rarogiem, na sarny z śieciami, na kuropatwy z jastrząbki, najpewniejszy łów.

---

(1) Redakcya Przyjaciela ludu, przychylając się do życzenia szanownego X. W. P., aby artykuł ten w piśmie jéj umieszczonym został, tém chętniéj to uczyniła, że zasługę w każdym człowieku, a zwłaszcza położoną w trudném powołaniu kapłana i nauczyciela wysoko ceni. Żałuje przecież, że X. W. P. w artykule poświęconym pamiątce zasłużonego męża, nie wspomniał nic o pracach jego naukowych, które podobno w licznych rękopismach zostawił. Dowiadujemy się bowiem z dosyć pewnego źródła, że ś. p. Kozłowski przez lat kilkanaście pracował nad historyą kościelną. Cóż się stało z rękopismem? *R. P. L.*

(1) Gospodarstwo jeździeckie, strzelcze i myśliwcze r. 1600.

(2) Rarog, gatunek sokołów rzadkich do łowów na zające. O nich to przysłowie: „Rzadki jak rarog.“

W łowiech uciecha, u stołu znajomość, w cieple sen.

Z rusznicą na wiosnę, z sokoły lecie, z ogary w jeśieni, z rarogi źimie, myślistwa najlepiéj uczyć.

Rusznica jako chleb zawsze się przygodzi.

Ogar łakomy, chart pokorny, wyżeł zwajcza, dobre bywają.

Charcice, ogarzyce, wyżlice, z domu nie zbywaj, chceszli mieć psy dobre.

Koń dla owsa, pies dla chleba, ptak dla mięsa, śiła się nauczą radzi.

Przejażdżka, myślistwo, gospodarstwo, potrzebują rannego wstania.

Koń swawolny, broń tępa, rusznica niepewna do potrzeby, nie dobrzy są.

Koń ogonem wiercący, myśliwiec pogody czekający, kmieć bez dozoru robiący, pewnie z tych każdy raczéj sobie a niż panu dogadza.

Żrzebię tureckie, wyżlę niemieckie, chłopię szlacheckie najlepiéj chować: bo koń turecki droższy, wyżeł niemiecki ćwiczeńszy, a szlachcic za wychowanie, będzie i z przyjacioły dziękował.

Koń wymorzony w drogę, chart obkarmiony w pole, mieszek (worek) czysty do targu, wszyscy nie wiele sprawią.

Koń śiwy, chart płowy, ptak biały, częściéj dobrzy trafiają się.

Wierna miłość, sanna droga, krogulcze pole, głos dyszkantowy, nie trwałe. (3)

Biada téj kokoszy, na którą jastrzębia łowią.

Tam się orłowie zlatują, gdzie ścierw czują.

W post jeleń srogi ukole cię rogi.

Wilk na dziedzinie nie szkodzi. (4)

Z szwagrem na zająca, z bratem na niedźwiedzia. (5)

Jazda bez śiodła, pole bez obłowu, gość nie dyskret, prędko naprzykrzy się.

Koń w dzielności, pachołek przy trunku, chart u zająca, jakiemi się raz pokażą, takiemi je długo rozumieć możesz.

Koń bystry, białagłowa strojna, ptak lotny, niemogą ladajako obrócić się z czasem. (6)

Muchy, psy, gachy, gdzie się ponęcą, trudno wygnać.

„Miły panie bracie,“ rzekł podstoli, gdy skończył czytanie Dymitr, „wiele tu prawd zawarłeś, aleć szkoda, że to jakoś w traktacik nie ułożyliście.“

„Nie miałem, mój sąsiedzie, do tego i czasu,“ odrzekł Struś, zawsze w puszcze lub na polu, mało doma siedząc, niewiele pracując, „krótko a węzłowato pisać należało. W młodych leciech najwięcéj rozmyślałem, czy idąc w pole, czy robiąc toporem drzewo, czy z rusznicą w kniei. A kiedyż wolna do pióra ręka, ot co zbyło czasu ziemie, toć się napisało.

(3) Gospodarstwo jeźdz. strzel. etc. 1600.
(4) Bo wilk gdzie się gnieździ, nie szkodzi.
(5) Przypowieści Salomona Ryśińskiego. 1629.
(6) Jana Zabczyca *Politica dworska* 1630.

Aleć już będzie pono i doba do wczasu; dobra noc mili sąsiedzi; Bartosz niech pomyśli o wygodzie; jeno pamiętaj, żeby wielce nie stukać, gdzie chowamy sokoły i ptaki łowieckie nasze.“ —

5.

Nim zapiały pierwsze kury, Dymitr wysłał swoie konie z kolasą tajemnie do blizkiego Sędomierza, aby sprowadzić sławnego lekarza, w one czasy medyka nadwornego kasztelana Jana, Grabi Tarnowskiego, pana Marcina z Urzędowa. Zrobił to tajnie, i dopiero wyznał podstolemu, kiedy medyk na podwórze zajechał równo ze wschodem słonka. Zdziwił się Struś niepomału, ujrzawszy wielbionego lekarza w swoim dworku.

„Czemże Waszeci, wielce miłościwy mistrzu, odwdzięczę za tę łaskę, żeście raczyli zjechać w liche progi moje?“

Medyk skłonił głową, usiadł w milczeniu przy łożu, i wziął słabego za rękę, szukając bicia tętna. (7) Po chwili obejrzał ranę, a z przywiezionéj maści plastrem owinąwszy, ręczył za zdrowie, aby w spokoju trzy dni przeleżał.

„Cieszy mię wielce, że rana Waszéj miłości (rzekł Marcin z Urzędowa) w niczem niezastrasza, maści téj jeno zażywajcie, a niedługo ....“

„Czy jutro zapolować możnaby,“ przerwał Struś.“

„To zawczasu, pozajutro nad wieczorem będziecie mogli wyjść nieco z domu, bo wiem, że wam duszno w chałupie siedzieć.“

„Czyby nie zawadziło trochę juszki upuścić?“ zapytał chory.

Niema potrzeby, a jać szafarzem krwie nie jestem, (8) nie pijcie wina, za napój wody z grzanką chleba.“

„Toż Wasza miłość zagrał panu Strusowi tarabandę, on co jeno myje się wodą,“ zawołał podstoli.

Struś się skrzywił na tę radę doktora, ale przez szacunek w żart to obróciwszy, wyrzekł: „Źle będzie z nami, moi sąsiedzi, bo dostanę przydomek Wody, jak tam jakiś wojewoda na Mazurach.“ (9)

„Nie obawiajcie się tego sromu; tamten nie pił cały żywot, jak jeno wodę, a ja wam zalecam na dni kilka.“

„Niech tak będzie; posłucham rady waszéj miłości; będę siedział doma, pił wodę, aby się moi sąsiedzi nie nudzili. Bartoszu, weź drzemliki na łowy żórawi!“

Medyk, stanąwszy w oknie, z wielką radością ujrzał ogródek w około domku Strusa. „Jako baczę, z Waszéj miłości wielki miłośnik

(7) Tętno, puls.
(8) System Marcina z Urzędowa.
(9) Patrz Herbarz Paprockiego.

ziołek lekarskich i ślicznych kwiatów; owoż gwoździki ziemne albo indyjskie, które tymi czasy nastały w Polsce, śliczny a piękny kwiat (10), myrt niedawno sprowadzony (11), zieleni się groch włoski, nie widziałem go też nigdzie, jeno w ogrodach krakowskich, kędy go siać poczęto. (12) A wieleć osobliwości znajdzie po zamkach panów naszych. Bluszcz prawdziwy ma sam tęczyński zamek, źimie i lecie zielony (13). Rozmaryn już mają w ogródkach krakowskich. Widziałem jałowiec u pana Tęczyńskiego, wojewody sandomirskiego w Kraśniku, tak wielki, że są drzewa piękne, trudno rozeznać od cyprysu tak duże, tylko jagody dadzą poznać. (14)

Roztworzył okno, chwaląc ogródek, a Struś z radości, że praca jego i starunek znalazły pochwałę, już chciał puhar starego madzaru wychylić, ale pomny na zakaz medyka, patrzył wzdychając, jak goście podany gąsior spijali, a i pan Marcin Urzędów, lubo skromniéj, wychylał kielich miłego napoju.

Bartosz z dwoma drzemlikami ukazał się we drzwiach drugiej izby. „Wziąłem," rzekł, starego ćwika i maiża (15), poprobujem go nieco.

Właśnie Dymitr wychyliwszy puhar, czoło zmarszczył; co widząc podstoli, zawołał ze śmiechem.

„Co któryś tam z naszéj szlachty poetów powiedział, to muszę teraz powtórzyć do młodego naszego łowca:

„Spełnił gość pełną, i zmarszczył się chytrze,"
Gospodarz rzecze: „„Coś nie miło Dmitrze."" "
„Gniewam się," mówi, „gospodarzu na cię,
Chyba, że aż mię drugą pojednacie." (16) — "

„O nie dla tegom namarszczył czoła, wielmożny podstoli, aby o drugą miarę się upomnieć, boby już oczy zamroczyło, a czas na łowy!"

„Hejże na łowy!" wykrzyknął rzeźwie Struś, krzepką unosząc się z łoża. „Bartoszu, konia, rękawicy mojéj i bębenek!"

Medyk spojrzał nań z podziwieniem; zrozumiał to Struś dobrze, spuścił głowę zasępiony na piersi, i rzekł osowiały: „Jedźcie z Bogiem! a przywiesta mi żywego żórawia na nętę. Bartoszu, uważnie z maiżem, żeby nam nie uleciał z domu."

(10) Zielnik Marcina Urzędów, str. 32.

(11) Zielnik Marcina Urzędów, str. 56.

(12) Str. 13.

(13) Str. 269.

(14) Str. 349.

(15) Maiż, ptak zaczynający wprawiać się do łowów. Ztąd przysłowie u Rysińskiego: „Maiż towarzysz, ćwik Pan."

(16) Daniel Bartkowski: „Świat poczęści przejrzany."

Podstoli z Dymitrem wsiadłszy na koń, przegnali Marcina z Urzędowa, który co rychle ruszył do Sandomierza, polecając Strusowi spokój i dyetę. Bartosz konno, na rękawicy unosił dwa drzemliki, a dojeżdżacz, białego i pięknego prowadził na smyczy wołoskiego charta, wyprobowanego z rączości.

Struś zawoławszy pacholika i kilku z czeladzi, kazał się z łożem przysunąć do okna, zkąd widać łąki z wyżarami, kędy łowić miano żórawie. Gdy mu ułożono poduszki, i wszystko, jak na dłoni mógł dojrzeć, kazał przy sobie zostać pacholikowi, i podać trąbkę myśliwską.

Tymczasem łowcy stanęli na łące, bo dojrzeli stado żórawi. Dymitr wziął młodego drzemlika, podstoli starego ćwika. Bartosz odwinął rękawy, aby dobrze wybijać na bębenku, rozkazując dojeżdżaczowi zwolna z chartem zajeżdżać. Łowcy z ptakami czekali rychło puszczą w obłoki lotnych gońców. Dojeżdżacz zręcznie zajechał, ukazał chartowi stado, i puścił ze smyczy, poskoczył chart rączy. Łowcy ruszyli galopem, a gdy przed chartem zerwały się żórawie, Dymitr i podstoli puścili drzemliki. To była ważna chwila dla Bartosza, bił co siła w bębenek, i głosem z całéj mocy pokrzykiwał, zachęcając skrzydlatych łowiów. Struś w oknie nie mógł spokojnie dosiedzieć, to pokrzykiwał z gardła, to wygrywał na trąbie pojezdnego.

Spłoszone żórawie wybiły wysoko w górę. Drzemliki dognały ich prędko, usiłując wyżéj się wzbić nad nie, jakoż wkrótce i młodzik i stary wyleciały nad przestraszone ptaki. Tu był czas właściwy tryumfu łowców; drzemlik stary z góry uderza na głowę żórawia, zbija go z lotu, maiż idzie za jego przykładem, i obadwa z dwoma żórawiami, jak dwa kamienie rzucone, lecą ku ziemi. Bartosz z wlepionemi oczyma, z kopyta poskoczył, Dymitr za nim, równie jak osiwiały podstoli, aby po chwycić zdobycz.

Struś płakał z radości, patrząc, jak pięknie łowią jego ptaki, klaskał z radości, wołając na pacholika: „Chłopie moje, patrz, jak wybijają w górę, o! o! już uderza mój ćwik, o! o! już leci do ziemi; daléj sąsiedzi, w konie z kopyta, daléj!"

Żórawie z drzemlikami już były na ziemi, silne ptaki poczęły z siebie zdzierać napastników swoich, gdy Bartosz z Dymitrem wraz nadbiegli, pochwycili żórawie, i zdjęli drzemliki. (17)

Struś ujrzawszy skończone łowy; zatrąbił piosnkę: „Już po herapie, łowcy, łowcy!" rozkazując przyrządzić co żywo do stołu.

Z radością wracali łowcy, a gdy siedli z koni,

(17) Obraz łowów jest wiernie skreślony podług *Myślistwa ptaszego*, dzieła z czasów Zygmunta Augusta.

oddali gospodarzowi dwa żywe żórawie, nieco podrapane tylko: gdy Bartosz wszedł z drzemlikami, Struś kazał je sobie podać, a z pieszczotą głaszcząc je i całując, kazał je wodą obmyć i żyru dodać.

Po obiedzie, Bartosz znając swego pana, zapytał, niby niechcący, czy nie każe sprobować kurów (18) w bitwie, co ich nakarmił dobrze zielem dodającym zapału i ochoty do walki. (19)

„W to mi graj stary," wykrzyknął Struś radośnie, „przynajmniéj leżąc doma człek się jakoś rozweseli."

Zdięto nakrycie ze stołu, gospodarz kazał dolać w próżne puhary podstolemu i Dymitrowi, sam dla zachowania rady medyka, wodą usta popłókał, a napił się wina, kiedy Bartosz z pacholikiem wnieśli każdy koguta, pierwszy czerwonego, drugi białego jak mléko.

„No!" rzekł Struś, „nasypcie im nieco ziarna, niech się posrożą!"

Bartosz sypnął garść pszenicy na stół, i postawił przy tém koguty, oba poczęły jeść ziarna, ale wraz odsuwając się od siebie. Zwolna gniew w nich wzrastał, w grzebienie krew nabiegała, poczęły grzebać nogami, najeżać pióra, i pochyliwszy głowy, coraz zajadléj spozierać na siebie.

Struś poświstywał, klaskał w ręce, wreszcie zawołał: „Nuże! mili sąsiedzie, za którym trzymacie? Ja za czerwonym."

„Ja za białym," wyrzekł podstoli, za nim Dymitr.

Bartosz pokręcił głową.

„No! a wy za kim, stary?" zapytał Struś ciekawie.

„Mnie się zdaje, wielmożny panie, że biały pobije."

„O co zakład," wykrzyknął Struś, „że czerwony pobije. Słuchajta Bartoszu, jeżeli biały pobije, dam ci gąsior maliniaku starego, a jeśli przegra, sworami dostaniesz."

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kilka słów o mieście Brodach.

W artykule: „Wolne miasto handlowe Brody," z obrazów Galicyi wyjętym, a w Nrze 36. Przyjaciela ludu r. b. umieszczonym, znajdują się niektóre historyczne błędy. — Mając właśnie w ręku autentyczne dokumenta, rzecz wyjaśniające, mam sobie za obowiązek sprostować je. Redakcya pisma, tylu artykułami wzorowemi celującego, otwierającego zagrzebane skarby, obudzającego drogą przeszłości pamięć, a przezto do wiecznéj rodaków wdzięczności zobowięzującego, przez wzgląd na prawdę historyczną nieodmówi zapewne miejsca i tym kilku wierszom, bo *et hoc forsan meminisse juvabit*: Że już w wieku 14tym na tém miejscu, gdzie dziś miasto Brody stoi, była osada, która od czasów Kaźmierza Wielkiego coraz więcéj zaludniała się, zaprzeczyć niemożna, lecz nie idzie zatém, żeby ta osada już wtedy nazwisko Lubicz nośić miała. I owszem z przywileju Stefana króla, danego Stanisławowi Żółkiewskiemu w Lublinie 22. Sierpnia 1584 roku, który potém Zygmunt III. na prośbę synów Mikołaja Żółkiewskiego, podkomorzego lwowskiego, w Warszawie dnia 20. Marca 1597 potwierdził, okazuje się oczywiście: że przed rokiem 1584, na tém miejscu, gdzie dziś Brody, była wieś tegoż samego nazwiska, i że dopiero w tym roku na gruncie téjże wśi, w miejscu między Moczarami leżącém, Ostrów zwaném, tenże Stanisław Żółkiewski (ojciec Stanisława hetmana i kanclerza w. k., bohatéra z pod Kluszyna i Cecory, założył nowe miasto (novum oppidum), któremu nazwisko familijne Lubicz (od herbu, którym się Żółkiewscy jak wiadomo piszą), nadał, a którego założenie król Stefan potwierdził, dla tego, że, jak się wielki ten król wyraża, *tamtędy trakt zwykły z Ruśi na Podole i Wołyń, i z różnych miast ruskich do innych miast Ruśi prowadzi; oprócz tego zaś leży na samym przesmyku najazdów tatarskich, a zatem gdy kiedy obwarowane będzie, wielu mieszkańcom za przytułek, a samym nieprzyjaciołom za zawadę w dalszych postępach służyć może.* Czas niedochował w imieniu zamierzonéj przez Żółkiewskiego pamięci, już bowiem na początku 16go wieku nowo założone miasto nie nazywano Lubicze, lecz Brody. Świadczy o tém przywiléj Stanisława Koniecpolskiego, wówczas wojewody sandomirskiego i hetmana polnego k., męża córki hetmana Żółkiewskiego, przez którą dobra Żółkiewskich w dom Koniecpolskich przeszły, danego „w Brodziech dnia 8. Kwietnia r. 1629," który się od tych słów zaczyna: „Zostawszy panem dziedzicznym miasta Brodów." Tento Stanisław Koniecpolski, a nie syn jego Alexander, chorąży koronny i starosta pereasławski, który w roku 1629. właścicielem Brodów jeszcze nie był, szczególnemi przywilejami miasto Brody opatrzył, on zamek warowny wystawił, a tak ten, jak i całe miasto, mocnym murem i wałami opasał, i do rzędu pierwszych wówczas obronnych miejsc w Polsce wzniósł. Widać to z przywileju Władysława IV., danego w Krakowie 11. Marca r. 1633, którego wstęp następujący: .... *Itaque cum illustris et magnificus Stanislaus a Koniecpole Koniecpolski, Castellanus Cracoviensis* . . . . . *artibus belli supra fortunam, quam Sagax ipsius prudentia famulari sibi cogit, et supra invidiam quantum fatis antevertere licet, evitetur, totque praeclarissimis gestis rempublicam illustrat, vicinisque ac remotis hostibus majestatis ejus*

(18) Kogutów.

(19) Dawano u nas ziele, zwane „Matki boskiéj włoski." Ziele to wedle „Syreniusza" czyni koguty śmiałemi do boju.

mixtam venerationem injecisset; ne vero heroicis facinoribus suis tantaeque gloriae ad immortale quidquam deesset nomen, non tantum pro memoria civitatis suae haereditariae Brodensis praeferre et munire, verum etiam arcem firmissimam munitione exstruere vellet, nullisque sumptibus parcat, quo ea res Provinciae Roxolanae decori, accolis usui, commodo ac securitati contra quemvis validissimum hostem cadat, tam praeclaris ejus conatibus i t. d. W przywileju tym Władysław IV. potwierdza używane dotąd podług przywileju króla Stefana jarmarki i targi; wszystkim kupcom, z wszelkiego gatunku towarami tamże jadącym, i ztamtąd wracającym, salvum conductum zapewnia; wolność handlowania na wszystkich kupców, nietylko miast Rzeczypospolitéj, ale i na zagranicznych, tak Chrześcian, jak i Pogan rozciąga i jarmarkom brodzkim równe nadaje wolności, jak w Lublinie i w Toruniu mieć zwykły, równając je z któremikolwiek najsławniejszemi w Rzeczypospolitéj jarmarkami. Rozkazuje daléj król: aby trakt z ziem kijowskich i wołyńskich zawsze na Brody szedł, i z niego kupcy niezbaczali. Nareszcie ustanawia w témże mieście Brodach miasto składowe (emporium seu depositorium) na wszystkie towary, które z Wołynia, z kijowskiego i Polesia do Polski idą, mianowicie: łój, skóry, miód, len, konopie, sól, saletrę, wełnę, chmiel, ryby, i na te towary, które z Gdańska i Polski, do tych ziem, bądź wodą, bądź lądem prowadzą się; w ten sposób: iż żaden kupiec lub woźnik, z towarami do tegoż miasta dążący, onegoż pod karą utraty towarów wyminąć nie będzie mógł; nadto obowiązanym będzie w témże mieście trzy dni zabawić, aby w tym czasie mieszczanie towary dla siebie zakupywać mogli. Odtąd to poczyna się świetna dla Brodów epoka, która we względzie handlowym aż do ostatnich trwała czasów. Po wygaśnięciu domu Koniecpolskich, które, jak wiadomo, z zejściem Stanisława Koniecpolskiego, syna Alexandra, a wnuka Stanisława hetmana, w r. 1659 nastąpiło, miasto Brody przeszło w dom Sobieskich, zapewne prawem spadku naturalnego, bo babka króla Jana III., Daniłowiczówna, urodzona z Zofii Żółkiewskiéj, córki hetmana, była rodzoną siostrą babki ostatniego potomka domu Koniecpolskich, a tak w roku 1699. Brody były już własnością królewicza Jakóba Ludwika Sobieskiego (nie Jakóba Ludwika Podlewskiego), jak świadczy przywiléj jego de dato 4. Czerwca 1699. miastu Brody, raczéj Żydom tamże mieszkającym nadany, dla treści swojéj, wystawiającéj stósunek Żydów do ówczesnych panów dziedzicznych arcyważny. Dziś Brody są własnością Jana Każimierza Młodeckiego, nie Mołodeckiego.

Lwów, 8. Maja 1840.

A. C.

Odezwa Wydawcy Przyjaciela Ludu.

Na Numerze 52. Przyjaciela Ludu kończy się szósty rok istnienia tego czasopisma. Starania moje około jego wzniesienia, ocenili już tylokrotnie krajowi i zagraniczni uczeni. Zajęty wciąż tąż samą myślą rozwijania mego pisma, wezwałem do współpracownictwa najsławniejszych pisarzy, którzy nietylko mi pomoc przyrzekli, ale nawet już szacownych i obfitych dostarczyli materyałów, nadających pismu memu rzetelną w wszelkim względzie wartość, a oraz zdolnych czytelnika, szukającego w pismach peryodycznych miléj rozrywki, jak najprzyjemniéj zabawić. Wszakże usiłowania takowe wymagają z mojéj strony znacznych ofiar i zmuszają mnie do podwyższenia zbyt niskiéj ceny prenumeracyjnéj o 3 złote rocznie, a 1 ½ zł. półrocznie. — Wszystkie więc księgarnie krajowe i zagraniczne, jako też i królewskie pocztamty, przyjmują przedpłatę na Przyjaciela Ludu, rocznie 3 talary, czyli 18 złp., półrocznie 1 talar 15 sgr., czyli 9 złotych, którą Szanowni prenumeratorowie wcześnie złożyć raczą, niechcąc doznawać przerwy w odbieraniu regularnie wychodzących cotydzień numerów Przyjaciela Ludu.

Leszno, 25. Maja 1840.

Ernest Günther, *księgarz i typograf.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)